
SEPT.
25¢
STRANGE ADVENTURES ON OTHER WORLDS—
PLANET
stories
A.N.C.
Empires start oddly. One grew from a mutiny in the hold of a Gorzuni slave-ship.
The STAR PLUNDERER
Novelet by POUL ANDERSON
Easy enough to land on Onzar IV. But Thane had to mortgage the Allied Worlds to stay alive on the terror-planet. . . .
EVIL out of ONZAR
Novel of the Galactic Wars
by MARK GANES
Also
Edwin James
Charles Saphro
Robt. Moore Williams

Robert Moore Williams

Kot Thompsona

(Thompson's Cat)

Planet Stories, September 1952
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Dziwny niewidoczny owad wyludnił całą planetę. Teraz niszczył załogę Thompsona, podczas gdy jego statek pędził w kierunku słońca… pewna śmierć dla wszystkich, włączając nosicieli choroby. W całej tej panice zupełnie zapomniano o Busterze, mądrym kocie Thompsona.

– **T**o martwa planeta – powiedział Thompson. W głosie kapitana słychać było pewną obawę, pomimo całkowitej pewności, że ani jego załodze, ani jemu samemu, na tej planecie nie może stać się nic złego. Tym niemniej jednak, gdzieś w głębi duszy, zrodził się u niego cień początku prawdziwego strachu.

Stojący obok Thompsona na dachu budynku Kurkil, odezwał się szeptem, zadając pytanie, które lepiej byłoby, gdyby w ogóle nie padło:

– Ale co ich zabiło?

Thompson poruszył się niespokojnie. Nie chciał słuchać takich pytań wcześniej, tym bardziej nie chciał wysłuchiwać ich teraz. Jego spojrzenie powędrowało automatycznie w stronę opływowych kształtów krążownika kosmicznego, spoczywającego niewzruszenie na placu przed budynkiem. Ten widok podniósł go na duchu. To był jego statek, to on był dowódcą tej ekspedycji badawczej dalekiego zasięgu, wysłanej z Gromady Sol, na obrzeża wszechświata, wysłanej przez zrodzone na Ziemi rasy, ciągle dopiero rozpoczynające swoją długą historię badania tajemnic wszechświata i krążących w kosmosie planet. Widok statku rozbudził w nim dumę, dumę pochodzącą z myśli o przynależności do tej sięgającej w kosmos cywilizacji. Następnie jego spojrzenie powędrowało po wyludnionym mieście, rozpościerającym się dookoła, we wszystkich kierunkach od miejsca w którym się znajdowali i ponownie uświadomił sobie dotknięcie lęku.

Stanowczo wyrzucił to uczucie ze swoich myśli i zaczął szukać w głowie jakiejś odpowiedzi na pytanie Kurkila.

To miejsce kiedyś było miastem. Jeżeli zaś mówimy o budynkach i ulicach, wysokich budowlach gdzie ludzie mogli bez przeszkód i sprawnie pracować, szerokich alejach, prowadzących do porządnych domów, w których mogli przez resztę dnia odpoczywać w spokoju, po trudach pracy, jeżeli te sprawy uznamy za istotne, było to nadal miasto. Ale jeżeli ktoś uważa, że istotnym elementem statusu miasta jest obecność mieszkańców, w takim przypadku miejsce to nie zasługiwało już na tę nazwę.

Nie miało bowiem żadnych mieszkańców.

– Nie wiem, co ich zabiło – odparł w końcu Thompson.

Przed lądowaniem oblecieli tę planetę dookoła. Z góry dostrzegli ponad kilkanaście miast, podobnych do tego. Wszystkie one były martwe, wszystkie były opustoszałe. We wszystkich miastach ulice porastały zagajniki krzewów, chodniki powybrzuszały się pod naciskiem napierających na nie od dołu korzeni. Z tego samego powodu budynki w nich zwalały się i zmieniały w ruiny. Nigdzie jednak nie było widać żadnych mieszkańców. Mogli podziwiać drogi, jakie ci mieszkańcy zbudowali, aby połączyć swoje miasta, teraz opustoszałe. Widzieli pola, na których ci ludzie pracowali, pola obecnie zmienione na powrót w lasy. Natomiast nie udało im się znaleźć żadnych śladów lądowisk dla pojazdów powietrznych, ani statków kosmicznych. Rasa ta zbudowała miasta, ale nie poznała jeszcze tajemnicy skrzydeł.

Jedynymi żywymi stworzeniami, jakie można było dostrzec z dachu budynku, na którym stali, byli ludzie za plastikowymi portami widokowymi znajdującego się pod nimi statku –– Grant, specjalista komunikacyjny i Buster, statkowy kot.

Grant został na pokładzie, żeby pilnować statku. Buster został zmuszony do pozostania w środku, w oczywisty sposób wbrew swojej woli. Chciał pójść z Thompsonem. Na widok kota, na twarzy Thompsona pojawił się ślad uśmiechu. On i Buster byli wypróbowanymi starymi przyjaciółmi.

– Nie podoba mi się to miejsce – nagle cicho stwierdził Kurkil. – Nie powinniśmy tutaj lądować. – Kurkil przerwał, a kiedy jego głos ponownie

zabrzmiał, tym razem głośniejszy, pojawiły się w nim nuty strachu. – Tutaj panuje śmierć.

Plasnął się w ramię, rozglądając się dookoła.

– Co się stało?

– Coś mnie ugryzło. – Pokazał spód ręki. Wyraźnie widać było malutką dziurkę.

– Pewnie jakiś owad – zlekceważył to Thompson.

Ukąszeniami owadów, nie musieli się specjalnie przejmować. Kurkil, podobnie jak wszyscy pozostali członkowie jego wyprawy, był uodporniony na choroby. W Gromadzie Sol opracowano szczepionki i inne środki immunizujące, przeciwko wszystkim znanym, czy też możliwym do wyobrażenia, formom zarazków i wirusów. Każdy z członków załogi, został starannie uodporniony. W dodatku, zabezpieczono ich przeciwko stresowi, przeciwko narastającej presji nerwowej, spowodowanej przez wyobrażone lub rzeczywiste niebezpieczeństwa, którym będą musieli stawić czoła.

Jeżeli pominąć ryzyko kolizji w kosmosie, albo kwestie wypadków, na badanych przez nich planetach, nie specjalnego nie mogło im się stać.

– Zanim tutaj wylądowaliśmy, sprawdziliśmy przecież powietrze, wzięliśmy próbki gleby i roślinności – próbował uspokoić go Thompson. – Nie ma tu niczego, co byłoby szkodliwe dla ludzi. – W tej myśli była pewna pociecha.

Kurkil wyraźnie się rozchmurzył.

– Ale co się stało z rasą, która zbudował to miasto?

– Nie wiem – odpowiedział mu Thompson.

Ta odpowiedź zabrzmiała nieco burkliwie, ponieważ sam walczył ze sobą, aby zmusić się do wyrzucenia z głowy wspomnień tych wszystkich rzeczy, które widział w tym budynku, kiedy do niego weszli i wchodzili po schodach na dach. Musiał to być kiedyś budynek biurowy, miejsce gdzie jacyś nieznani ludzie, którzy w nim pracowali, zajmowali się swoimi transakcjami biznesowymi i przechowywali ich rejestry. Nie wiedzieli co prawda żadnych maszyn do prowadzenia rachunków, ani innych wyrafinowanych urządzeń mechanicznych, wykorzystywanych w Gromadzie Sol, do rejestrowania pulsu biznesu. Ta rasa nie była na tyle rozwinięta. Ale pozostawili po sobie księgi, zapisane jakimś niezrozumiałym pismem, zamówienia na towary, ciągle starannie pokategoryzowane, w najlepszym porządku i z wyglądu nie wskazujące na jakieś zaburzenia.

Gdyby nie zwały kurzu, pokrywające wszystko, mogłoby się wydawać, że pracownicy pozostawili swoje biura wczoraj, idąc po pracy do domów.

– Nie zostały tu nawet żadne żywe zwierzęta – mówił dalej Kurkil.

– Wiem.

– Ale co się tutaj mogło wydarzyć? Rasa, która rozwijała się normalnie do etapu budowy miast, nie może tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi, nie pozostawiając żadnych śladów tego co się z nią stało.

– Najwidoczniej, oni jednak tak właśnie zrobili.

– Ale to jest po prostu niemożliwe.

– A jednak tak się stało.

– Ale…

– Tam jest Neff – przerwał mu Thompson.

Dalej, w głębi rozciągającej się pod nimi alei, pojawiły się trzy postaci. Neff, Fortune i Ross. Neff, wysoki i szczupły, Fortune okrągły jak piłka, a Ross zbudowany jak kwadratowy blok betonu. Neff zauważył ich na dachu budynku i machnął do nich, żeby zeszli. W jego geście widać było jakąś nagłą potrzebę.

– Oni coś znaleźli – stwierdził Thompson. Pośpiesznie wyszedł z budynku, prowadząc za sobą Kurkila.

– O co chodzi?

– Chodź sam i zobacz – odparł Neff. Twarz mężczyzny była szara. Ross i Fortune milczeli.

Budynek przed którym stali, musiał kiedyś być domem mieszkalnym. Architektura nie przypominała niczego, co można było spotkać na Ziemi, tym niemniej przeznaczenie budowli, było dosyć oczywiste. Tutaj ktoś musiał mieszkać. Thompson próbował sobie wyobrazić mieszkających tutaj ludzi: męża wracającego wieczorem do domu, na przygotowaną przez żonę kolację, wybiegające mu na spotkanie dzieci. Jego wyobraźnia była jednak zbyt uboga.

– Tam, z tyłu – poinformował go Neff.

Obeszli dookoła dawny dom mieszkalny, wchodząc do czegoś w rodzaju ogrodu, spokojnego kącika, w którym rodzina mogła sobie odpoczywać.

– Tam – powiedział Neff, wskazując ręką.

W altance, przed czymś, co kiedyś musiało być ołtarzykiem, znajdowały się trzy szkielety. Leżały przodem do ołtarzyka, tak jakby ludzie umarli podczas modlitwy. Ponad nimi, w niszy stał…

– Idol – wyszeptał Kurkil.

– Oni umarli, modląc się do swojego boga – wymamrotał Thompson. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos. Trzy szkielety…

Kości wskazywały, że istoty te miały budowę bardzo podobną do ludzi. Szkielet duży, średniej wielkości i mały.

– Wydaje nam się, że ten mały, to szkielet dziecka – odezwał się Ross. – Myślimy, że była to rodzina.

– Rozumiem – powiedział Thompson. Czy znaleźliście jeszcze jakieś inne szkielety?

– Całe mnóstwo. Znajdowaliśmy je niemal wszędzie, ale zazwyczaj wciśnięte były w kąty, tak jakby ci ludzie próbowali się przed czymś ukryć. – Jego głos zamarł nagle w nerwowej ciszy.

– Jakieś wskazówki, co do przyczyny śmierci?

– Brak. Ewidentnie śmierć nadeszła dosyć nagle. Sądzimy jednak, że mieszkańcy miasta otrzymali jakieś ostrzeżenie. A przynajmniej, wydaje nam się, że liczba znalezionych szkieletów, jest zdecydowanie za mała, jak na miasto takiej wielkości. Tak więc oceniamy, że znaczna część ludności uciekła, albo próbowała to zrobić.

– Rozumiem – powtórzył bezbarwnym tonem Thompson. Nagle opanowało go wrażenie, że coś przemknęło mu przed oczyma, jakby pędzący rozbłysk światła. Zdawało mu się również, że jego ucho wychwyciło chwilowy szelest powietrza, cichy jak szmer przelatującej

duszy. Skupił się na sprawie ucieczki tych ludzi, masowej hegiry, którą próbowali podjąć w celu uniknięcia jakiegoś zagrożenia. Jakiego zagrożenia? – A jak myślicie, co spowodowało ten exodus?

Ross wzruszył ramionami, wymownym gestem, braku wiedzy czy też zrozumienia.

– Wojna…

– Na tej planecie nie toczono żadnych wojen – szybko wtrącił Neff. – W tych miastach nie ma żadnych śladów konfliktu.

– Uhm – powiedział Thompson. Czterech mężczyzn spoglądało na niego z niepokojem. Czekali na podjęcie przez niego jakiejś decyzji. Decyzji o dalszym toku działań.

Thompsonowi nie podobały się jego własne myśli. Na tej planecie było coś dziwnego –– i był to rodzony brat samej śmierci, tego był pewien. Dowody na to, leżały niemal pod nogami.

– Wracamy na statek – zadecydował Thompson.

Grant zobaczył, że idą z powrotem, otworzył więc dla nich śluzę. Jego zaniepokojona twarz wyjrzała na nich z włazu.

– No i, co się tu dzieje?

– Nie wiemy – odpowiedział mu Thompson. Kot, Buster, przepchnął się do przodu pomiędzy nogami Granta i już z daleka skoczył na pierś Thompsona, przy lądowaniu wbijając się wszystkimi dwudziestoma pazurami w materiał ubrania. – No co, stary, martwiłeś się o mnie?

Weszli przez śluzę na pokład statku.

– Zabieramy się stąd na górę – oznajmił Thompson. – Potrzebujemy trochę czasu, żeby pomyśleć o tej zagadkowej sprawie. Może uda nam się coś wymyślić, jeżeli nie będziemy tak blisko tego wszystkiego.

Po jego słowach na twarzach wszystkich ludzi pojawiła się ulga.

– Może wkrótce odlecimy stąd z powrotem do domu? – powiedział Kurkil, uśmiechając się z nadzieją.

– Możesz być tego całkowicie pewny – odparł Thompson.

Statek wzniósł się w górę, na wysokość wielu mil ponad milczącą planetą. Cała grupa zaczęła roztrząsać problem.

– Głosuję za przeprowadzeniem dokładnego śledztwa – powiedział Grant. Był pełen żarliwego optymizmu. – Planetę zamieszkiwała jakaś rasa. Coś się przecież z nią stało. Musimy się dowiedzieć, co się tu wydarzyło, ponieważ… – Nie brnął już dalej. Z wolna entuzjazm zniknął z jego twarzy. – Nie, to niemożliwe – skończył.

– Zagrożenie, że wirus który zniszczył tę rasę, pokona przestrzeń kosmiczną do Gromady Sol, nie istnieje – dokończył za niego Kurkil. – Odległość jest zbyt duża.

– Odległość nie była zbyt duża, abyśmy my ją pokonali – zauważył Fortune.

– Proszę – przerwał im Thompson. – Nie możemy w tej sytuacji stosować logicznego rozumowania, dopóki nie zdobędziemy odpowiednich danych. Jedyne informacje jakie mamy… – Jego głos zamierał, by w końcu

zapaść w ciszę, w miarę jak pamięć prezentowała mu w głowie reprodukcję tych informacji –– milczące, wyludnione miasta, planeta cofająca się w rozwoju do poziomu wyłącznie roślinnego, trzy szkielety przed ołtarzykiem.

Nagle zdecydował się. Zrobił to w sposób czysto impulsywny.

– Nasza trasa badawcza i tak już zbliża się ku końcowi. Odlatujemy stąd. Bierzemy kurs z powrotem na Gromadę Sol. Oznaczymy tę planetę na mapach gwiezdnych, jako cel dla dalszych badań.

Kiedy ogłosił swoją decyzję, twarze wszystkich obecnych ludzi wyraźnie się rozjaśniły. Gromada Sol! Dom! Zielony ziemski glob, daleko w głębinach kosmosu. Nawet sama myśl o nim, była nieomal dostatecznie silną magią, aby zrzucić z nich grozę tego, co widzieli tam na dole, na opuszczonej planecie.

Niecałą godzinę później, drżenie układu napędowego przeleciało przez cały statek, który ustawiony już wcześniej na właściwym kursie, zaczął przyśpieszać, przygotowując się do skoku w hiperprzestrzeń. Thompson siedział w swojej kabinie, dokonując ostatnich sprawdzeń, opracowanych przez maszyny parametrów lotu. Buster wyciągnął mu się na udach, na wpół śpiąc. Nagle kot zeskoczył ze swojego miejsca i jak się zdawało, rzucił się na jakąś znajdującą się w pomieszczeniu, niewidoczną zdobycz. Kot wyglądał jakby złapał to, na co polował, jego szczęki schrupały ofiarę, przełknął ją.

Thompson wpatrywał się w kota, niedowierzającym wzrokiem.

– Buster, czy ty śpisz? Chyba ci się przyśniło, że tutaj była jakaś mysz?

Kot zamiauczał, podszedł do niego, a następnie wskoczył mu z powrotem na kolana i ponownie zapadł w drzemkę. Thompson wrócił do swoich liczb. Obliczenia były poprawne.

Przez system komunikacyjny statku, rozszedł się delikatny dźwięk gongu. Ostrzeżenie przez nadchodzącym skokiem. Leżący na kolanach Buster natychmiast oprzytomniał i bez zwłoki wbił wszystkie dwadzieścia pazurów w ubranie Thompsona. Thompson wyciągnął rękę, złapał się mocno poręczy przy swoim biurku i zaczął głęboko oddychać. Gong zabrzmiał ponownie. Ostatnie ostrzeżenie, oznajmiające że statek wchodzi właśnie w hiperprzestrzeń. Thompson złapał tak głęboki oddech, jak tylko mógł, i wstrzymał go.

Dźwięk gongu zamarł, zmieniając się w ciszę. Statek zadygotał. Skok był już w toku. Thompson odebrał oszałamiające wrażenie, że w jednej chwili każdy atom jego ciała, próbuje wywrócić się na nice. Przez moment przeszywało go uczucie niesamowicie intensywnego naprężenia. Uczucie to natychmiast zniknęło, kiedy statek z całą swoją zawartością, wszedł do hiperprzestrzeni. Thompson zaczął ponownie oddychać. Leżący na kolanach Buster, schował pazury i zaczął mruczeć. Buster był starym wygą, mającym na koncie wiele takich skoków.

– EEEEEEEjuuuuuu!

Przez statek przebiegł, odbijając się echem po wszystkich pomieszczeniach, niesamowity wrzask, który postawił na baczność każdy włos na głowie Thompsona. Dowódca poderwał się i wybiegł z kabiny.

Wrzask rozległ się ponownie, wyraźnie dobiegał z głównej kabiny. Thompson wpadł do salonu dokładnie w chwili, kiedy stojący na środku pomieszczenia Kurkil zerwał ze swego ciała resztki odzieży. W świetle lamp widać było, że jego odsłonięta skóra, zaczęła robić się intensywnie zielona.

Fortune próbował podejść do niego. Kurkil ostrzegł go:

– Trzymaj się ode mnie z daleka, trzymaj się z daleka. Nie dotykaj mnie. Też tego dostaniesz.

W ułamku sekundy, który był potrzebny Thompsonowi do tego, aby ogarnąć całą sytuację, zielony kolor rozlewający się ciele Kurkila, znacznie zwiększył swoją intensywność.

W miarę jak kolor się pogłębiał, paplanina wydostająca się z jego ust, zaczęła zamierać. Powoli upadł, jak człowiek któremu podcięto jednocześnie obie nogi.

Był już martwy, zanim jeszcze upadł na podłogę. Martwy tak definitywnie, że przez jego ciało nie przebiegła nawet jedna drgawka agonalna.

Kabinę główną zmroziła kompletna cisza. Tak jakby był to jakiś sen, koszmar, wytwór spaczonej wyobraźni.

Ręka Fortune’a skinęła mniej więcej w stronę Gromady Sol.

– Wygląda na to, że nie jesteśmy aż tak bardzo odporni na stres i choroby, jak nam to wcześniej mówiono.

– Co się stało?

– Siedział tutaj w fotelu i myślałem, że zasnął. Wtedy nagle zaczął wrzeszczeć i zdzierać z siebie ubranie. – Ross bezradnie rozłożył ręce. – Próbowałem mu jakoś pomóc…

– Wiem – pokrzepił go Thompson.

Starał się podjąć jakąś decyzję, co dalej robić. Statek nie miał żadnych urządzeń do przewożenia zmarłych. Taki wariant został uznany, jako zbyt mało prawdopodobny, aby go w ogóle rozważać. No cóż, zawsze pozostawał port wyrzutowy.

– Pozbierajmy strzępy ubrania – polecił Thompson. Przy pomocy Fortune’a i Rossa zabrał się do zrobienia tego, co trzeba było zrobić.

Później zebrali się wszyscy w kabinie głównej, aby zdecydować, co robić dalej. Neff przyszedł na górę, zostawiając maszynownię i silniki napędu pod kontrolą automatów. Grant przyszedł ze sterówki. Gdyby pojawiło się jakiekolwiek zagrożenie, dzwonki alarmowe wezwą ich z powrotem na stanowiska.

Zebrana w salonie grupa ludzi, była cicha i zaniepokojona. Tylko Buster pozostał niewzruszony.

– Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zawlekliśmy ze sobą na pokład statku, jakąś zarazę – rozpoczął Thompson.

Stwierdził rzecz oczywistą. Spotkał się więc z taką odpowiedzią, na jaką zasłużył. Z ciszą.

– Musimy również wziąć pod uwagę fakt, że niektórzy z nas, a być może nawet i wszyscy, możemy być także zarażeni.

Żaden z mężczyzn nie poruszył się nawet, żaden z nich się nie odezwał. Ewidentnie widać było po nich nadzieję, że wygłoszone przed chwilą słowa, nie do końca poprawnie usłyszeli. Siedzący na kolanach Thompsona Buster, prychnął, jakby zrozumiał co zostało powiedziane, ale kompletnie mu się to nie podobało.

– Co więc zrobimy?

– W jaki sposób moglibyśmy wykryć co powoduje tę chorobę?

Dwa głosy jednocześnie. Po chwili odezwał się Fortune:

– A nawet jeżeli się tego dowiemy, to co możemy na to poradzić? *Oni* nie zdołali niczego zrobić.

– To, że ta rasa na dole, nie zdołała powstrzymać zarazy, wcale jeszcze nie znaczy, że my nie będziemy w stanie tego zrobić. Jesteśmy zupełnie inną rasą, o odmiennym metabolizmie i odmiennej budowie ciała…

– Kurkil miał taki sam metabolizm i budowę ciała, jak my – zauważył Ross.

– Zrobimy, co będziemy mogli – odpowiedział mu stanowczo Thompson. Pomimo tego, że ci ludzie zostali uodpornieni na załamania nerwowe, w powietrzu wisiała atmosfera paniki. W duchu przeklął fakt, że nie mieli na pokładzie żadnego lekarza, ale sam aż za dobrze znał drogę rozumowania, która doprowadziła do rezygnacji z tego stanowiska.

– Mamy bibliotekę medyczną – zaproponował tonem zachęty Ross.

– Tak – odezwał się Fortune. – W której możemy znaleźć szczegółowe opisy terapii, dla każdego możliwego do wyobrażenia wypadku, ale w której nie znajdziemy ani jednego cholernego słowa, na temat infekcji, a nawet gdyby nam się to udało, nie mamy żadnych lekarstw, którymi moglibyśmy je leczyć.

Ponownie zapadła cisza. Siedzący na kolanach Thompsona Buster, przekręcił się i zeskoczył na podłogę. Ze sztywno wyciągniętym ogonem i nisko przyczajonym ciałem, skradał się po plastikowej podłodze, jakby próbował podejść coś, co znajdowało się za otwartymi drzwiami.

– W każdym razie wykadzimy statek środkami dezynfekcyjnymi – zadecydował Thompson. – Oczyścimy go.

Zajęcie się konkretną pracą, przyniosło wszystkim pewną ulgę. Ubrania które mieli na sobie członkowie grupy naziemnej, powędrowały w kosmos przez śluzę do wyrzutu odpadków. We wnętrzu statku wszystkie podłogi, ściany i sufity, zostały starannie oczyszczone, przez spoconych, gorączkowo pracujących ludzi. Dym ze środków odkażających, został rozprowadzony po wszystkich kabinach.

Po okadzeniu środkami dezynfekcyjnymi, duch w ludziach zaczął się podnosić, ale nawet wtedy objawy stresu ciągle były aż za bardzo oczywiste. Nikt nie znał okresu inkubacji wirusa. Doprowadzenie przez niego do śmierci Kurkila potrwało jedynie parę godzin. Mogły jednak minąć całe dni, zanim wirus rozwinie się w swojej nowej ofierze.

Natomiast aby uzyskać absolutną pewność, że są wolni od jakiegokolwiek ryzyka infekcji, musiały minąć miesiące, a nawet lata.

Do czasu zanim statek dotrze do Gromady Sol i automatyczne mechanizmy kontroli lotu wyprowadzą go z lotu w hiperprzestrzeni, wszyscy obecni na pokładzie mogą być już martwi.

Gdyby tak się stało, urządzenia sterujące statku automatycznie zakończą jego lot. Stałby się on widoczny na czujnikach dalekiego zasięgu patrolu kosmicznego i wysłano by inny statek, aby zadokował do niego, tak by można doprowadzić go do celu.

Na myśl, co by się wtedy stało, Thompson natychmiast udał się na dziób, do sterówki. Wachtę pełnił Grant, siedzący z zaciśniętymi ustami i wyraźnie zdenerwowany. Thompson pośpiesznie zaczął wykreślać nowy kurs. Grant spoglądał mu przez ramię.

– Wprowadź tę zmianę – polecił mu Thompson.

– Ale, kapitanie… – zaprotestował Grant. Kiedy uświadomił sobie konsekwencje nowo wytyczonego kursu, twarz zrobiła się mu zupełnie biała. – Nie. Nie możemy tego zrobić. To by oznaczało…

– Wiem, co to oznacza. I, jak mam nadzieję, jestem przy zdrowych zmysłach. Ten kurs to po prostu środek ostrożności, na wypadek, gdyby w czasie gdy dolecimy do Gromady Sol, na pokładzie nikt już nie pozostał przy życiu.

– Ale…

– Wprowadź tę zmianę – twardo rozkazał Thompson.

Z wyraźną niechęcią Grant wprowadził nowy kurs do komputerów. Przez okręt przeleciało lekkie drżenie, kiedy w odpowiedzi na korektę, statek zmienił swoje położenie.

– Wyjdziemy z hiperprzestrzenni za niecałe trzy godziny – poinformował Grant. – I niech niebiosa nam dopomogą, jeżeli kurs nie zostanie wcześniej zmieniony.

– Jeżeli ten kurs nie zostanie wcześniej zmieniony, to rzeczywiście już tylko niebiosa będą mogły nam pomóc. Od tej chwili nie wolno ci ani na chwilę opuszczać tego pomieszczenia.

– Tak jest, sir.

Z Busterem kroczącym jego śladem, Thompson wyszedł ze sterówki.

– Jaaaaauu!

Wrzask dochodzący z głównej kabiny, tym razem miał odmienny wzorzec i brzmiał zupełnie inaczej. Ale jego znaczenie było dokładnie takie samo jak wtedy, kiedy krzyczał Kurkil. Thompson rzucił się tam biegiem.

Ofiarą był Ross. Podobnie jak Kurkil, zdzierał właśnie z siebie całe ubranie. Również podobnie jak Kurkil, robił się cały zielony. Kiedy upadł na podłogę, już się z niej nie podniósł.

Stojąc i wpatrując się w leżącego Rossa, Thompson odebrał mgliste wrażenie mijających go gdzieś w pobliżu furkoczących skrzydełek. Delikatnego szeptu skrzydełek, jakby przelatywała koło niego dusza.

Z pomieszczeń maszynowni przybiegł Neff.

– Słyszałem przez interkom czyjś krzyk. Och, już rozumiem.

Twarz mu falowała, a szczęki poruszały się, jak gdyby próbował coś powiedzieć. Nie wydał jednak żadnego dźwięku.

Ze swojej kajuty wyłonił się Fortune i popatrzył na leżącego na podłodze Rossa.

– A więc, nasze okadzanie, jednak nie podziałało, co?

– Może złapał to jeszcze na planecie – odparł Thompson. Próbował wlać trochę pewności do swojego głosu. – Posprzątajmy tu.

Nie było modlitwy. Nie było taż żadnej ceremonii pogrzebowej. Ciało Rossa po prostu wyleciało przez właz śluzy wyrzutowej i zniknęło gdzieś w głębinach kosmosu.

Thompson wrócił do swojej kabiny i ciężko opadł na krzesło za biurkiem. Rzazem z nim przyszli Fortune i Neff.

Buster zamiauczał.

– Okej, stary. – Kot wskoczył Thompsonowi na kolana.

– Myślę, że nie ma już większego sensu, abyśmy dalej sami siebie oszukiwali – stwierdził Fortune. Jego głos był ponury, zniechęcony, wyprany z uczuć i pozbawiony ducha. Mięsień na policzku Neffa, lekko zadrżał.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odpowiedział mu Thompson.

– Do diabła, rozumiesz mnie i to dobrze. Fakty są oczywiste. Albo wszyscy zaraziliśmy się tym wirusem, albo dostał się on na statek i wszyscy się nim zarazimy. Jedyne co możemy zrobić, to czekać na to, który z nas będzie następny. Chciałbym tylko wiedzieć, to… Kto wypchnie przez właz wyrzutowy ciało ostatniego z nas?

– Nie wiem – przyznał bezradnie Thompson.

– Czy nie ma jeszcze czegoś, co moglibyśmy spróbować? – Nerwowy tik na policzku Neffa, stał się jeszcze bardziej wyraźny.

– Jeżeli jest coś takiego, to ja niestety nie mam pojęcia co… Co u licha się z tobą dzieje, Buster? – Kot, który leżał mu spokojnie na kolanach, nagle zeskoczył na podłogę. Z wyciągniętym ogonem i czujnymi oczyma, przyczajony, kot zdawał się śledzić wzrokiem lot czegoś w powietrzu, ponad nim.

Bardzo mgliście, bardzo niewyraźnie, Thompson wychwycił jakby szelest niewielkich skrzydełek.

Zachowanie kota i ten dźwięk, spowodowały, że przez jego ciało przebiegła fala absolutnego zimna.

Nie zdążył nawet drgnąć, kiedy kot wyskoczył w górę i pochwycił coś ze szczękiem zębów.

W tym samym ułamku sekundy, Thompson wkroczył do akcji. Zanim Buster zdążył przełknąć swoją zdobycz, Thompson złapał go za pyszczek, zmuszając kota do jego zamknięcia. Na biurku stał szklany wazon w kształcie dzwonu. Thompson złapał go, podniósł, odwrócił do góry dnem i wepchnął łepek kota pod niego, a następnie nacisnął mocniej palcem wskazującym i kciukiem, z boku na szczęki Bustera.

Obrażony Buster, wypluł coś z pyszczka. Thompson wyszarpnął głowę kota spod wazonu, opuszczając z trzaskiem jego brzeg na biurko. Wściekły kot prychnął na niego. Neff i Fortune gapili się na Thompsona wzrokiem, wskazującym na to, że według nich dowódca musiał bez wątpienia postradać zmysły. Ten jednak nie zwracał na nich uwagi. Był za bardzo

skupiony na przyglądaniu się czemuś zamkniętemu pod kopułą wazonu, wyłączając się na cały świat, nawet nie zauważając ich istnienia.

Nie widział pod wazonem zupełnie niczego, żadnego stworzenia, które złapał kot.

Wiedział, że potrafią one latać, ale nie znał ich kształtu, ani rozmiarów. Słyszał uderzenia o boki wazonu. Za każdym razem, kiedy coś trafiało w ściankę, w punkcie zderzenia pojawiała się na chwilę mała zielonkawa smuga.

– Co… Co ty u diabła tam masz? – wyszeptał Neff.

– Nie wiem tego z całą pewnością. Myślę jednak, że mam tutaj nosiciela tego wirusa.

– Co?

– Popatrz.

– Niczego nie wiedzę.

– Ja również nie, ale słyszę je i widzę miejsca, w których uderza ono o ściany wazonu. Definitywnie coś jest pod tym szkłem. Coś, co Buster widział przez cały czas.

– Co?

Thompson wskazał ręką na wazon.

– Jedno, albo kilka tych stworzeń dostało się na statek, kiedy właz był otwarty. Nie widzieliśmy ich i nie wiedzieliśmy, że w ogóle istnieją. Ale Buster je widział. Złapał jedno z nich, tutaj, w tej kabinie, zaraz potem, kiedy wystartowaliśmy. Myślałem, to było coś w rodzaju gry, w którą grał, żeby się zabawić, a może… – Przerwał. W głębi umysłu, wyszperał informację z historii, z czasów zapomnianych już obecnie Ciemnych Wieków, w których całe populacje były dziesiątkowane i niszczone przez gorączkę przenoszoną przez różnego rodzaju insekty.

Wstrzymując oddech, Thompson obserwował.

Stukanie o ścianki wazony, rozbiło się coraz słabsze. Potem zupełnie ustało. Na blacie biurka pojawiła się smuga. Były to niesamowicie szybko uderzające skrzydełka. Skrzydełka, które, kiedy stały się widoczne, przeszły przez całe pasmo kolorów tęczy.

Kiedy wibrowanie skrzydełek ustało, widoczne stało się całe stworzenie. Zbudowane z jakiegoś rodzaju niesamowicie rzadkiej tkanki, która była niemal przezroczysta, miało mniej więcej takie rozmiary, jak koliber.

Pomieszczenie znajdowało się w okowach ciszy. Thompson uświadomił sobie, że jego oczy koncentrują się długim, szpiczastym dziobie stworzenia.

– Kiedy żyło, było zupełnie niewidoczne – wyszeptał Fortune. – Martwe widzimy bez trudu. – Stopniowo coraz bardziej podnosił głos, przesiąknięty tonem zgrozy. – Jakąś godzinę temu, Ross skarżył się, że coś go ugryzło.

Jak ostatni fragment układanki obrazkowej, który scala wszystko razem, coś pstryknęło w umyśle Thompsona.

– Kurkil podobnie. Kiedy byliśmy poza statkiem, też go coś ugryzło.

Ponownie zapanowało milczenie. Oczy Thompsona powędrowały od Neffa do Fortune’a.

– Czy…?

Obaj natychmiast pokręcili głowami.

– A więc, to jest ostatni element – wyszeptał Thompson. – To stworzenie rzeczywiście musi przenosić wirusa, jest jadowite, czy też coś podobnego. Bez ukąszenia, wirus nie może się rozprzestrzenić. Znaleźliśmy przyczynę. Mamy to.

Zdawał sobie sprawę, że na jego twarzy perli się pot. Pot czystej ulgi. Usiadł ciężko w fotelu. Buster, któremu przeszła cała obraza, za zniewagę jaką musiał ścierpieć, wskoczył na blat biurka i usiadł na nim, z nosem przyciśniętym do szkła, wpatrując się w martwe stworzenie w środku wazonu.

– On złapał jedno z tych stworzeń, właśnie w tej kabinie – Thompson powiedział cichym głosem. Dreszcz przeszedł mu po plecach, i gdzieś zniknął. Był tak blisko śmierci i nawet tego nie wiedział. To Buster go uratował.

Zamiast szukać u niego ochrony, kot, w pewnym sensie, chronił jego. Jego spojrzenie skupiło się czule na przyjacielu.

– A co, jeżeli na statku jest więcej tych stworzeń? – spytał Fortune.

– Ten problem możemy rozwiązać bez trudu – odpowiedział mu Thompson. – Skafandry kosmiczne. A teraz, kiedy wiemy już, czego szukać, możemy oczyścić statek. Jeżeli nie uda się to nam, zrobi to dla nas Buster.

– Skafandry kosmiczne! – Tak jakby usłyszał z jego wypowiedzi wyłącznie te dwa słowa, Fortune wybiegł z pomieszczenia. Wrócił z trzema skafandrami. Pośpiesznie założyli je na siebie.

– Żaden przeklęty robal nie zdoła przegryźć czegoś takiego – z radością zawołał Neff. – Słuchajcie, a co z Grantem? Może lepiej zanieśmy skafander również i jemu?

– Sam powinienem o tym pomyśleć. Fortune… – Ale Fortune już wypadł z jego kabiny, biegnąc po skafander. Thompson z trzaskiem otworzył szafkę komunikatora. – Grant?

– Tak, co się stało?

– Znaleźliśmy przyczynę i mamy chorobę pod kontrolą.

Ze sterówki doleciał przez komunikator głos Granta, krzyczącego:

– Dzięki Bogu! Siedziałem tutaj i obserwowałem jak Słońce, robi się coraz większe i większe… – Jego głos nagle umilkł, zduszony w gardle. Na chwilę zapadła cisza, a następnie padło pytanie: – Czy teraz już możemy zmienić nasz kurs?

– Zdecydowanie powinniśmy to zrobić – odpowiedział mu Thompson. – Tak prawdę mówiąc, to jest rozkaz.

Chwilę później statek zajęczał, kiedy zmienił się nieco kierunek jego lotu. Thompson wziął głęboki oddech i uświadomił sobie, że Neff bacznie się mu przypatruje.

– O co chodziło z tym, co on powiedział, o obserwowaniu Sol, oraz że robi się ono coraz większe i większe? Słuchaj, a właściwie to na jakim my byliśmy kursie?

– Na kursie kolizyjnym ze Słońcem – odpowiedział mu Thompson.

– Co? – wysapał Neff. – Czy chcesz przez to powiedzieć, że miałeś zamiar rzucić statek w Słońce?

Powoli Thompson skinął przytakująco głową.

– Nie wiedziałem, czy uda nam się tak długo przeżyć, a nie chciałem aby statek dotarł do Gromady Sol i wypuścił tam na wolność wirusa, który już raz wyludnił całą planetę.

Mówił powoli, z pewnością siebie podtrzymywaną przez fakt, że rozpaczliwe zagrożenie, szczęśliwie zostało już zażegnane. Neff wpatrywał się w niego wystraszonymi i wielkimi oczyma.

Siedzący na blacie biurka Buster zrezygnował ze swojej straży przy wazonie, zamiauczał i zeskoczył kapitanowi na kolana. Thompson czule pogłaskał go po grzbiecie, grubymi rękawicami swojego skafandra.

Buster wygiął plecy w łuk, z wdzięcznością przyjmując pieszczotę, i zaczął mruczeć.

KONIEC